ROK TRZECI.

№ 26.

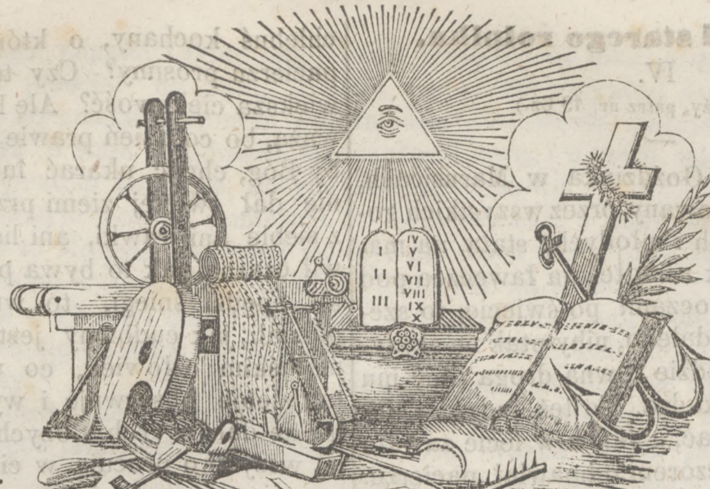
Warszawa

Dnia 15 (27) czerwca

1858.

Niedziela

5ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, któryś miłującym Ciebie niewidome dobra zgotował, wlej w serca nasze skutek Twej miłości, iżbyśmy Cię we wszystkiem i nad wszystko miłując, obietnic Twoich, które przewyższają wszelkie żądanie, dostąpili. (Kolekta na Niedzielę piątą po Świątkach).

Lato.

Już nam ziemię stroi lato,
Słońce płonie w złoty blask,
Świat się cudną ubrał szatą,
Wkoło źródła Bożych łask
Rzeźwią drzewa, wznoszą zboża,
Wszędzie świeci łaska Boża.

Kiedy ranek nam zaświta
W koralowych tysiąc zórz,
To chór ptasząt w śpiéw nas wita,
Wody lśnią się w odblask róż;
Płoną ziemie, płoną morza,
Wszędzie świeci łaska Boża.

Latem wszystko jest rzeźwiejsze,
W upał wieje na nas chłód,
Kwiat i zboża są pełniejsze
I przy pracy lżejszy trud;
Bo pięknością lśnią przestworza,
Wszędzie świeci łaska Boża.

O! tak samo w ludzkiem sercu,
Wśród upływu życia dni,
Jak blask kwiatów w łąk kobiercu
Niech nam piękność lata lśni,
Jak różane płoną zorza,
Niech lśni w duszy łaska Boża.

Boć najmilsze chwile w lato,
To naszego życia wtór,
I najdroższą nam zapłatą,
Gdy zyskamy plonów zbiór,
I ustawim w stogi zboża,
Rzekniem: wielka łaska Boża!

Lato, to jest najmężniejszy,
Najpiękniejszy życia wiek,
I plon myśli najbujniejszy
Ma podówczas w sobie człek;
Niezna zwątpień już bezdroża,
Gdy go wspiera łaska Boża.

Lato dla nas życia ciepłem,
Co po wszystkich żyłach gra,
Często w sercu w lód zakrzepłem
Roznieci się życia skra,
I miłością duch rozgorza,
Gdy w niej płonie łaska Boża.

Pogadanki starego rolnika.

IV.

(Ciąg dalszy, patrz nr. 19 Cz.)

—

Chałupa Janka Goździaka w Marusicach, co to tak był szanowany przez wszystkich gospodarzy, a starych i młodych, stała na małym pagórku, i jak usiadłeś na ławeczce pod ścianą a rzuciłeś oczami po świecie, to szedłeś z niemi precz daleko, niby ptak na skrzydłach, co mu wszędzie równa droga i nic mu w locie nie przeszkadza. To też ludziska lubili się przypatrywać, a Janek w lecie zawsze w tem miejscu wieczorem odmawiał pacierze. Bo powiadał, że jak wpatruje się w zielone łąki i w pola bujające jak fala na rzece podrastającem zbożem, jak nadsłuchuje ślicznego śpiewania skowronka i całej gromady ptaszyn, i jak spojrzy w niebo złocące się promieniami zachodzącego słonka, po którem posuwają się białe chmurki jakby główki ze skrzydłami małych aniołków, to wtenczas w duszy swej tak się raduje, tak rozrzewnia, tak w tem wszystkiem widzi moc, wielkość, potęgę i miłość Boga, że zwykle modlitwę zaczyna serdecznem westchnieniem, a kończy łzami dziękczynienia za te wszystkie cuda, jakiemi Stwórca otoczył człowieka, najczęściej grzesznego i nieoceniającego łask tych należycie.

Jednej niedzieli jak zwykle gromadka ludzi zeszła się do niego. Janek z odkrytą głową patrzył przed siebie, ludziska stali w milczeniu, aż wreszcie Bąbała, co to z niego zawsze dosyć było uciechy, wydobywając tabakierkę, rzekł:

— Mój Janie, siedzicie ta i patrzycie nie wiadku czego; ot lepiej, żebyście nam powiedzieli co ciekawego, choćby i z łajaniem jakiem, bo i tego u was nie kupić.

— Mój sąsiedzie, odrzekł Janek, ciekawości nie trzeba szukać ani w ludziach ani w ich gadce, ino wedle siebie po świecie. Bo ino spojrzyjcie na pola nasze, co się po nich zieleni ozimina i jarzyna, na tę oto rolę, co się z niej dobywają ziemniaki, czy to nie jest największa ciekawość, kiedy z tego ziarna, które człek rzucił w ziemię i zababrał bronami, pomaluśku wszystko podrasta, idzie w kłos, w ziarno, potem człek to zbiera, młóci i robi chlebuś kochany, o który codzień Boga w pacierzu prosimy? Czy to więc nie jest największa ciekawość? Ale ludzie mało sobie to ważą, bo co dzień prawie na to patrzą, i gdyby Bóg, chcąc ukarać ludzi za ich grzechy, nie dał świętej ziemi przez cały rok wydać z siebie ani trawki, ani listka i ziemię zostawił czarną, jak to bywa po zimie, kiedy słonko spędzi śniegi, to wtedy dopierobyśmy poznali, jak cudowny jest świat cały, a jak maluśkim człowiek, co w dumności swojej tak siebie obserwuje i wywyższa. A jednak ludzie darów tych Bożych nie szanują i choć na wszystko pracują w ciężkim pocie czoła, trwonią, marnują, jeden grugiemu niszczy...

W tem miejscu mowa Janka przerwaną została zwróceniem ogólnej uwagi na drogę idącą z podwórza dworskiego. I było na co spojrzeć; granicą bowiem biegł polowy dworski ku łąkom leżącym w rozdole, i machając laską, coś ostro wykrzykiwał, od dworu zaś ekonom pędził na koniu w największym galopie, kierując się za biegnącym polowym. Niedługo z przeciwnej strony, jak lis kiedy ucieka przed gończemi, wysunął się jakiś włościanim na szkapie i okładając boki batem biednemu bydlęciu, a kując go podkówkami od bótów po brzuchu, cwałował tak szybko i tak przyspieszał, że tylko ziemia dudniła, kopyta piasek rozpryskiwały na wszystkie strony, a skrzydła u kapelusza trzęsły się jak skrzydła u ptaka, kiedy mu pilno lecieć gdzie za jaką sprawą. Wyraźnie więc włościanin uciekał, i widać uciekał ze szkody, kiedy go gonił przystawca i oficyalista dworski; i byłby zapewne uciekł, ale skręcając z drogi na odłóg, gdy mu wypadło przez rów przeskoczyć, szkapsko nie dosadziło, przedniemi nogami ugrzęzło w błocie, włościanin się pochylił, a potem bachnął jak długi. W takim pędzie zlecić z konia, to jak nic kark można skręcić, a przynajmniej poturbować się na kilkutygodniowe leżenie. To też widać, że włościanin dogodził sobie w spadnięciu porządnie, bo jakiś czas poleżał w zupełnej spokojności i dopiero po chwili powstał, podniósł kapelusz, otrząsł się z ziemi i podszedł ku rowowi do wydobywającego się z błota konia. Ale jednem złem nigdy się nie kończy; koń bowiem wyrwał się z błota, i kiedy włościanin poszedł ku niemu, chcąc go uchwycić za cugle, ten odwrócił

się, wierzgnął tylnemi nogami i tylko zadudniło, co tak ostro poleciał na łąki. Na piechotę już nie było co uciekać, ekonom bowiem nie więcéj jak o staje znajdował się drogi; włościanin więc zdjął kapelusz, uchylił głowy i z pokorną miną przystanął w miejscu.

— Wiecie co, że to Modras? odezwał się ktoś z gromady zebranej u Goździaka; widzicie, jak się skrobie w głowę i ciągle kłania się, co tak wyprasza się od kary i molestuje o darowanie mu winy.

— Ba! nie ma molestować, odrzekł na to Bąbała, ekonom w ręce taki cięty, że jak tnie, to nikiej nożem.

— Widać, żeście już próbien tego, odezwał się z uśmiechem Wycykał, kiedy rękę ekonoma tak znacie dokumentnie.

— Ej! raz ino, raz, kiedy moja Jagna, odrzekł na to Bąbała, kuląc ramion, nacięła sierpem koniczyny nasiennej dworskiéj dla krowy.

— I jakże to było, na pokładańca, czy tak ino na suche razy?

— Ej! tak ta, odrzekł Bąbała, nic nie miarkując, że Wycykał z niego pokpiwa, dał mi ekonom dwa razy pięścią w plecy, a potem tym bacikiem liznął cosić z pięć razy.

— I ino tyla?

— Tyla, ino tyla, ale przez życie moje tego nie zabaczę.

— To wam widać uczciwie dogodził?

— Ba! mruknął tylko Bąbała, poruszył plecami i westchnął, jakby się to stało w tej chwili.

— A mój Tomaszu, za cóż was karał, kiedy to wasza Jagna, a nie wy szkodę robili?

— Ho! ho! człeku, człeku, on i Jagnie nie poborgował, a mnie za to wywałkował, co ja jej gospodarz. Bo widzicie ja jej rzekłem, co by się postarała czego dla krów do doju, a jak powiedziała, że nie wie, kaj ma czego szukać, tak ja jej rzekłem, żeby poszła ku koniczynie dworskiej. I widzicie z mego rozkazania to ino raz tego było, ale dziewczysko jak się znarowiło, tak potem dzień w dzień nikaj nie poszła, ino zawdy nikiej maciora nie przymierząjąc, w koniczynę i w koniczynę. Tak jak ją złapali, tak też i jej i mnie się dostało, jakby ja temu był winien.

— Oj! prawda, prawda, niby żaląc, odezwał się na to Wycykał, już to wy macie zawdy szczęście do niewinnego na siebie posądku. Ot! na ten przykład dziewucha wasza nałamała płotu wedle dworskiej kapusty, a wy zapłacili karę, i o mało także nie przypieczętowaliście skórą.

— A prawda, i żeby nie panienka, takby był dziedzica nie uprosił. No, i jestże tu sprawiedliwość na świecie?

— Oj! prawda mój Janie, prawda, odezwał się znowu Wycykał kręcąc głową, bo żeby tak na mnie, tobyście się byli ze skórą swoją nie poznali, bo wiecie wy, co się z tego zrobiło? Oto, wasza Jagna, jak jej brakło koniczyny, bo się bała ekonoma, to groch mój rwała, a jak dworskiego płotu nie stało, to się chyciła mego, bo już się jej do lasu po suche patyki pójść nie chciało.

— Albo to prawda? zapytał troszkę zawstydzony Bąbała, już mnie nikt tego nie dowiedzie.

— No, nie wypierajcie się, nie wypierajcie, bo że wy nie lubicie ludzkiej pracy szanować, to ani gadania. Ukraść, nie ukradniecie co prawda, ale urwać w polu co na paszę, albo do garneczka, wedle domu złapać co na ogień, toście jeden do tego.

Bąbała zaczął się tłumaczyć, wykręcać, jedni za nim świadczyli, drudzy przeciw, inni pokpiwali, aż wreszcie odezwał się:

— Moi sąsiedzi, co prawda to prawda, ze dworu to ta czasem jaką garstkę trawy, albo grochu, lub co innego to się skorzysta, ale z chłopa niech Bóg broni, bo to wielki grzech. Dwór ta i tak dworem będzie, a dobrze, że się człek troszkę pokrzepi.

— A jużcić, a jużcić, potwierdzono dokoła, co ta tam odrobina znaczy?

Janek przez cały czas tej rozmowy nic nie mówił, tylko słuchał, ale widać, że mu się wszystko strasznie nie podobało, bo marszczył brwi, a czoło często zmarszczkami się pokrywało. Chłopiska już znali z tego Janka, dlatego pomału zamilkli, oczy skierowali ku niemu, a Janek jakby się pasował sam z sobą, ścisnął pięść, i po chwilce obcierając czoło, odezwał się z bolesnem westchnieniem:

— Moi sąsiedzi, to wy chrześcianie katolicy? Nie! wy jak jakie pogany, bo gdybyście się bali Boga Wszechmogącego, tobyście zawdy mieli na baczeniu dziesięcioro Bożych przykazań, w którem powiedziano: Nie kradnij, i nie pożądaj bliźniego twego ani wołu,

ani osła, ani służebnicy, ani żadnej rzeczy, która jest jego; a więc ani owsa, ani koniczyny, ani płotu, ani trawy na łące. A jednak czy zachowujecie to? czyż minie choć jeden dzień, żebyście dworowi jakiej szkody w polu nie zrobili, albo żebyście się między sobą o jaką psotę nie poswarzyli? A czyż to nie jest pożądanie cudzej własności? Czyż kiedyś za te krzywdy, co robicie i dworowi i między sobą, Bóg was nie ukarze.

Na te słowa Janka chłopiska powzdychali, poruszyli głowami. Bąbała aż jęknął, co mu tak ciężko było odetchnąć, a Janek po chwili mówił dalej:

— Moi sąsiedzi, powiadacie, że szkodę zrobić dworowi, to nie ma w tem grzechu, ino kiedy chłop zrobi chłopu, to wtedy jest grzech śmiertelny. Moi ludzie, gadką taką oszukacie siebie, oszukacie ludzi, ale nie oszukacie Boga. Jak więc tylko bierzesz to, co nie twoje, na ten przykład koniczynę, trawę, gruszkę z drzewa, ziemniaki, kapustę, suchy chrust, albo kołki z płotu i inne ta rzeczy, czy to chłopu czy dworowi, to jużcić dybiesz nie na swoje, bierzesz, co nie twoje, czyli kradniesz, więc popełniasz grzech śmiertelny. Ale ludzie tak się popsuli, że już to nawet za złe nie uważają; dlatego też na grzeszących co dnia co godziny, Bóg zsyła teraz różne klęski, jakich przedtem nie znano, jak: cholerę, febry, zarazę na bydło, susze, ciepła w zimie, a przymrozki w lecie, wojny, głody, i Bóg wie nie jakie inne nieszczęścia. I wszystko to dopóty ludzi trapić będzie, dopóki się ludzie nie poprawią; bo i jakżeż ma być dobrze na świecie? Wszystko żyje w rozdzieleniu, każdy ino dla siebie, pacierz ludzie choć mówią, to ino gębą, a w myśli to sobie układają, gdzie co urwać albo złapać, bo powiadają, że to nie złodziejstwo. A ja wam powiadam moi sąsiedzi, że wszystko, co tylko bierzecie nie swego, jest złodziejstwem, i za wszystko odpowiadać będziecie przed Bogiem.

Jeszcze potem wiele rozgadek było między ludźmi, każdy czuł, że Janek we wszystkiem ma racyą, bo znali już do niego, że zawdy w każdej rzeczy trzyma się sprawiedliwości, a nie pochlebstwa i przylizywania się; ale równie ten gadał tak, ten owak, aż wreszcie pomału zaczęli się rozchodzić. Wtem do Wycykała nadbiegła dziewucha jego i odsłaniając fartucha, rzekła:

— Patrzcie tatusiu, jakie to na dworskim ogrodzie ziemniaki.

— A i któż ci ich nakopał?

— A ja sama, odrzekła dziewucha z przechwałką; upatrzyłam, jak ekonom i polowy polecieli za Modrasem w pole, tak też złapałam motyki...

— A ty! niepoczciwe dziecko, przerwał z gniewem Wycykał, to ty mnie we dworze będziesz robiła złodziejem? To ty mnie w takim posądku przed ludźmi będziesz stawiała?

I mówiąc to poczciwy ojciec, odpiął pasa, uchwycił własne dziecko za rękę i tak zaczął kropić po plecach jedną ino koszulą osłoniętych, że dziewucha i ziemniaki rozsypała i chustkę z głowy upuściła, i tak wrzeszczała, jakby z niej pasy darto. Po frycówce dziewucha z płaczem pobiegła do domu, a chłopi przybliżyli się do Wycykała i jeden rzekł:

— Poczciwie zrobiliście mój Mateuszu, bo przez jednę szkodnicę wszyscy moglibyśmy być we dworze w posądku o złodziejstwo, i nawet wypada wam, cobyście tę rzecz ekonomowi oświadczyli, bo po cóż na nas mają krzywo patrzyć?

Wycykał podrapał się w głowę, bo jakoś nijako mu było iść ze skargą na własne dziecko i nie wiedział, jak sobie radzić, ale Janek podsunął się i rzekł:

— Żeście dziecko mój Mateuszu ukarali za szkodę, to możecie opowiedzieć we dworze, ino odnieście ziemniaki i wszystko opowiedzcie, jak było, a dwór pewnikiem Maryśki nanowo karać nie będzie. Ale pamiętajcie moi sąsiedzi, że to nie dosyć jest swoich domowników i swoje dzieci przestrzegać; trzeba i na siebie pilnie baczyć, bo my starzy, a oni młodzi, a młodzi to najczęściej we wszystkiem lubią iść za staremi. Jak więc i my i nasze dzieci i słudzy zabaczą o szkodach, to we wsi taka będzie święta zgoda, dwór nas będzie tak obserwował, tak szanował, że zobaczycie, jaka to wtedy będzie u nas śmiałość pójść po każdym interesie do dworu. A komu z tem będzie dobrze? Jużcić nam, bo jaką my chudziaki nieuczeni i niepiśmienni bez opieki i mędrszej głowy możemy sobie dać radę?

— Oj! prawda, prawda odezwano się do-

koła; wielaby o tem mówić, ale żeby dwór przekonać, co my nie szkodniki i z przychylnością dla dworu, to przyrzeczmy sobie, że każdego szkodnika wydamy na jaw, i sami mu wyłoimy takie basiory, że przez całe życie o nich nie zabaczy.

— Zgoda! zgoda! potwierdzono dokoła, szkodników nie ma co żałować—ażeby ta rzecz taka nie poszła w odwłoczkę, więc idźmy do dworu, prośmy dziedzica, coby Modrasa oddał pod nasze sądzenie. Jak rzekli, tak zrobili. Dziedzic z chęcią przystał na sąd chłopski i Modras w pół godziny już był po basarunku, że skrzywiony i skurczony powlókł się do domu, jakby po obłożnej chorobie. Ale broń Boże! nic mu nie było, skóra pocierpiała i wnet się zgoiła; lecz za to od tego czasu Modrasek taki się zrobił poczciwy, że nad niego prawie nie było we wsi lepszego.

Potem zakręcili się z basarunkiem około Bąbały, ale już wam nie powiem tego, jak to było, bo widzicie Bąbała już niedzisiejszy, toby mu było bardzo markotno, gdyby się kiedy dowiedział, że go pismem przed ludźmi osławiłem; a jeżeli wstyd młodemu być szkodnikiem, choć ludzie mówią, że każdy młody to głupi, cóż tu dopiero mówić o starych, u których znowu wedle ludzkiej gadki, w siwych włosach rozum ma siedzieć.

Przeczucie.

Za rzeczułką przedzielającą łąkę od drogi, stał domek wieśniaczy; przed domkiem ława i stara, gromna topol; wewnątrz klęczał starzec przed obrazem, przed którym migał płomień lampki.

Starzec skończył ostatnią pieśń Męki Pańskiej, wyszedł przed sień, stanął pod topolą i westchnął.

—Dziadziu, dziadziu, krzyknęła dziewczyna, odrzucając włosy, spadające na zrumienioną od zmęczenia twarzyczkę, bociany przyleciały!—widziałam dwóch w pańskim ogrodzie, jeden podlatał nad gniazdo, a drugi stał na jednej nodze... o tak dziaduniu!

Wieśniak z uśmiechem uderzył wnuczkę po ramieniu.

— Już ty zawsze pierwsza musisz wszystko zobaczyć.

— Tak, tak dziaduniu, przeszłego roku jaskółki, zaprzeszłego dzikie gęsi, a tego bociany.

Starzec pomarszczył brwi i westchnął:

— Wszystko, co odleciało powracą, wróciły jaskółki, bociany, tylko mój Wojciech nie wrócił.

Dziewczyna klękła u nóg dziadka i usiłując spojrzeć w spuszczone jego oczy, rzekła:

— Dziaduniu, jutro Wielkanoc, smucić się nie godzi; zobaczysz, jak będą dzwonić na Alleluja, babulka w izbie szykuje święcone, zaniesiem do dworu, ksiądz poświęci, nie smuć się dziaduniu.

— Wesel się dziecko, bo nie masz jeszcze zmartwień; ale kiedy starca serce boli, trudno nie zapłakać.

Halina (bo takie było imie owej dziewczyny) spuściła głowę, na ustach jeszcze nie przygasł uśmiech, a łza już w oku płynęła, jak kropla deszczu.

Wieśniak mówił dalej:

— Miałem jedynego syna Wojciecha, w ósmym roku tak już był roztropny: tak rozumny, że przysłowiem poszło we wsi całej: mądry jak syn Bartłomieja. Organista uczył go czasem z początku, a potem xiądz pleban. Gdy przyszło raz do examinu, ksiądz pogłaskał go, spojrzał na mnie i powiedział:

— Już to z tego chłopca kościół będzie miał pożytek; odeślę go do szkół do Krakowa, potem do seminarium, potem go wyświęcimy i będzie jeden więcej sługa Boży.

Schyliłem się księdzu do nóg, któryżby ojciec nie chciał mieć syna pobożnym i uczonym księdzem? Przygotowań nie było wiele, pleban dał mu odzienie, a my naszemu dziecięciu daliśmy tylko owoców, masła, chleba i kilka talarów przechowanych w skrzyni. O! gdybym ci wiedział, że go więcej nie zobaczę, dałbym mu był i tę kapotę z siebie, i to serce i tę duszę, i sam byłbym za nim pociągnął.

— Czy on umarł dziaduniu?

— Może i umarł, ja nie wiem, gdzie się obraca. Uczyli go tam, uczyli w tym Krakowie; chodziłem wciąż na plebanię pytać o wiadomość, a pleban zawsze jedno powtarzał:

— Dziękuj Bogu gospodarzu, syn będzie człowiekiem.

Wreszcie nie mogłem wytrzymać, zaprzągłem furę i z Małgosią pojechaliśmy do niego. Anim go poznał, tak urosł, taki się zrobił mądry i piękny; upadł nam poprostu do nóg, jak to bywało w chałupie, a żegnając nas, powiedział:

— Teraz jeszcze nie mam nic swojego, wszystko, czem żyję, jest z dobrodziejstwa plebana, jak zacznę mieć swoje, będzie i wam lepiej.

Tak znowu ubiegło lat kilka. Smutny z moją Małgosią poszedłem raz na plebanię pytać o syna, pleban zawołał mnie i powiedział:

— Gospodarzu, syn wasz jest księdzem; nie bójcie się o niego, za suknią kapłańską człowiek jest jak za murem poświęconym. Ale teraz wojna na wszystkich krańcach kraju, kościół musi w niej spełniać swoję powinność; słudzy jego rozpierzchli się w różne strony, twój syn z nimi pracuje, nie dziwcie się więc, że was nie odwiędza. Oto jego własne słowa przesłane do was wraz z temi pieniędzmi, dodał kapłan, podając mi pismo i sto talarów, weźcie je i idźcie w pokoju, syn wasz kocha was, szanuje i pamięta o rodzicach.

Za talary owe kupiliśmy grunta w innych stronach jakby na nieszczęście swoje, bo pleban wkrótce umarł, a Wojtek stracił ślad za nami. I zadumał się starzec głęboko.

Halina przytuliła się do dziadka, po chwili jednak podniosła główkę i patrząc po gościńcu, rzekła:

—Dziadku, ksiądz sam idzie nam poświęcić, pójdę powiem babuni, naszykuję wodę i kropidło.

Nie czekając odpowiedzi, dziewczyna była już w izbie; wieśniak powstał na przyjęcie tak szacownego gościa i w uroczystej postawie czekał go u drzwi.

Dwóch księży spieszyło ku chacie: pierwszy stary, siwy, to pleban wioskowy, drugi w sile wieku, w czarnej obcisłej sukni, ozdobionej złotym krzyżem zawieszonym na fioletowej wstędze, pod którą to suknią rysowała się postać żywością ruchów świadcząca o czynnem życiu.

Bartłomiej skłonił się z uszanowaniem i zdziwiony zaszczytem, jaki go spotykał, pokazał drzwi chaty.

Bartłomiejowa i jej wnuczka stanęły przy stole nakrytym do święconego; młodszy ksiądz objął izbę ciekawem wejrzeniem, wziął w rękę kropidło, zmaczał je w wodzie święconej i ile kropel świętej wody padło na stół ubogi, tyle łez trysło mu z oka.

Wieśniacy zdziwili się, zadrżeli, spojrzeli po sobie, skupili w gromadkę, patrząc w drżące usta kapłana, poruszane modlitwą, nie śmiejąc się niczego domyślać.

Nareszcie padły ostatnie słowa i ostatnie błogosławieństwo uroczyste, ciche, łzawe jak przygotowanie do szczęścia; kapłan padł na kolana przed starymi wieśniakami, całował ich nogi, bo to byli rodzice jego.

Nie powiem więcéj, co się tam działo; stary pleban ocierał oczy, stojąc we drzwiach, Halina ze łzami i radością witała wuja, nie śmiejąc mu się rzucić na szyję, choć miała szczerą do tego ochotę.

Po pierwszem wzruszeniu, nastąpiły wyjaśnienia. Wojciech mówił, jak przerzucany w różne strony kraju, daremnie po śmierci plebana starał się wywiedzieć o rodzicach, jak poświęceniem, pracą, nauką wstępował na coraz wyższe stopnie godności kościelnej, jak wreszcie kapituła Płocka zaprosiła go do swego grona, ofiarując miejsce kanonika.

Stąd to pierwsze jego wejrzenie padło ku rodzicom, pierwszem uczuciem była tęsknota za nimi. Podwoił trudy poszukiwania, wywiedział się o nich, pospieszył, by w sam czas Zmartwychwstania pobłogosławić chatę, chleb rodziców i do nóg im się rzucić.

Wieśniaczka nie mogła łez utulić, stary wieśniak nie śmiał onego kapłana nazwać dziecięciem swojem; zmuszony wreszcie jego pokorą, uczuciem i łzami, przytulił jego głowę do piersi.

Ojciec i matka patrzyli z uszanowaniem na syna, który powiódł oczami po izbie, jakby jeszcze kogoś szukał; wieśniak zrozumiał jego poruszenie, przyciągnął ku niemu Halinę i rzekł:

— Szukasz twojej siostry Małgorzaty, oto wszystko, co nam po niej zostało.

Wojciech pocałował głowę dziewczynki, która ośmielona i powrócona do zwykłej żywości, rzekła:

— Prawda dziaduniu, że ja zawsze pierwsza wszystko zobaczę; wypatrzyłam jaskółki, bociany, a teraz wypatrzyłam wujaszka.

Uczciwy i bogobojny rzemieślnik.

(Opowiadanie).

—

Na przedmieściu Pradze, przy ulicy zwanej *Końskí-targ* zamieszkuje w własnym domu majster szewcki nazwiskiem Grodzikiewicz. Obok innych zalet, jakie rzemieślnika tego odznaczają, posiada on i tę jeszcze, że w szczupłej siedzibie swojej daje przytułek i naukę sierotom z instytutu Dzieciątka Jezus na wychowanie przyjętym.

Skromny warsztat Grodzikiewicza z czterech tylko osób złożony, wyprzedza dziś zdolnością i pracą, przez majstra poświadczoną jeden z wychowańców Dzieciątka Jezus, nazwiskiem Paweł Owczarski, młodzieniec liczący wieku lat 17, zdrów, wesół, swobodny, którego wypogodzone oblicze, pewne i śmiałe zdanie, daje wiarę w czystość duszy na wzorach religijnych i dobrych przykładach pryncypała wykształconej, a rozwinięte siły młodzieńca przekonywają o staranności, w jakiej został wypielęgnowanym.

Osoby rozciągające opiekę nad wychowańcami szpitala Dzieciątka Jezus poza obręb instytutu wydawanymi, z kolei nawiedziły mieszkanie i warsztat Grodzikiewicza.

W obszernej o dwóch oknach izbie przy dwóch oddzielnych stołach, pracowało nad robotą obówia trzech młodszych chłopców, pod kierunkiem wspomnionego majstra, a pomimo, że pora była już dość spóźnioną, bowiem słońce kłoniło się już ku zachodowi i zegar wskazywał, że już po 8ej godzinie, praca szła tak ochoczo, że żal jej było przerwać.

Na widok przybyłych Grodzikiewicz powstał i powitał ich słowami: Niech będzie pochwalony, z całą powagą i uszanowaniem wyrazom tym należnem. Dalej mając sobie objawiony cel przybycia i zapytany o sprawowanie i byt oddanego mu w opiekę Pawła Owczarskiego, Grodzikiewicz wskazując znanego nam młodzieńca, który tuż obok niego siedział i najtroskliwiej zajęty był pracą, rzekł: proszę jegomościów oto jest Pawełek, jest on dobry chłopiec, ale też u mnie złym być niewolno, bo choć siwizna na głowie i choć sam nie tęgo już maszeruję, ale dobrze komenderuję. W Imie Pana Naszego ukrzyżowanego Jezusa Chrystusa praca idzie naprzód, z niej mamy chleb, a że i on, jak jegomoście widzą, pracuje, głodu więc niema; wreszcie Bóg nam dopomoże, bo On czuwa nad dziećmi, które go przez pracę chwalą. Oderwana na chwilę od zajęcia młódź z uszanowaniem wysłuchała tych serdecznych wyrazów pryncypała, a widocznem przejęciem się niemi dowiodła, jak pojmuje ich prawdę i jak wierzy, że powodzenie jedynie przez pracę i ufność w pomoc Opatrzności osiągnąć się daje. Grodzikiewicz zaś mówił dalej przybyłym: ot jak widzicie jegomoście tego tu Owczarskiego, to już dzięki Najwyższemu Bogu i Matce Najświętszej, szósty, którego w świat wyprawiam; bowiem na święty Jan zostanie wyzwolony, a choć tam podobno w piśmie i czytaniu nietęgi, i ksiądz proboszcz kazał mu jeszcze przyjść na 4ry lekcye, ale da Bóg douczy się, czego mu nie dostaje i na święty Jan zostanie czeladnikiem. Z tamtych 5ciu każdy ma kawałek chleba: czterech jest majstrami, mają żony i dzieci, a jeden dla wokacyi odstąpił rzemiosła i został księdzem. Podczas exporty lub procesyi proszę go zobaczyć, idzie zawsze naprzód i samego Boga Ukrzyżowanego niesie, a teraz nawet dostał urząd Szafarza, gospodaruje całym klasztorem, a przecie ja go wychowałem.

— Tak jegomoście kochani! pracy i moralności przestrzegam i pilnuję, bom na to odebrał światło od Najwyższego, abym ich nauczał: nie pożądaj ani wołu, ani osła, ani ptaszęcia, ani kwiateczka, ani żadnej rzeczy, które bliźniego są; a jeśliby, co Boże uchowaj, młodemu jako młodemu zdarzyło się przeskrobać, kości nie połamę, kija nie używam i nie uszkodzę niebożęcia, ale naszem delikatnem narzędziem pocięglem skarcę, choć co prawda moi jegomoście, rzadko się to zdarza, bo dobre chłopaki i widzicie, jak wyglądają.

— Mam ja i swoje dzieci, ale i one skoro wychowam, do ludzi na naukę oddaję do czego które ma upodobanie, czy do stolarki, czy ślusarza, czy kowala; niech im Bóg błogosławi, a na ich miejsce biorę sieroty od Jezusa Chrystusa, aby i te czegoś nauczyć i na ludzi pokierować, a jak powiedziałem, ten oto Pawełek, szósty Bogu dzięki czeladnikiem zostaje.

Uczciwe i pełne serca postępowanie Grodzikiewicza nie pójdzie w zapomnienie u Bo-

ga; udzielić On raczy błogosławieństwa i jego dzieciom i jego czeladzi, bo sam jak pismo świadczy, zapewnił, że cokolwiek uczynimy jednemu z maluczkich w imię Jego, tak uzna, jak gdyby Jemu uczynionem było; a tysiąc przykładów z życia ludzkiego dowiodło tej prawdy, że kto sierocie dopomoże, tego Bóg nie opuści.

Wiadomość o książkach, dla ludu wydawanych.

W roku 1855 wyszła w Warszawie w drukarni Józefa Tomaszewskiego *krótka nauka dla ekonomów*, przez Leopolda Jeziorańskiego magistra prawa i administracyi napisana. Mieści ona w sobie treściwy wykład praktycznych rad i nauk dla oficyalistów wiejskich, temu zawodowi poświęcających się.

Pierwszem zadaniem każdego ekonoma, mówi autor w przedmowie, jest poznać rozległość gruntu jemu powierzonego, wyrachować siłę potrzebną do jego uprawy, i tak ją urządzić, aby mu wystarczała do każdej pracy.

Drugiem rozpoznać dokładnie gatunek ziemi, aby do niej orkę, uprawę i siéw zastosować, co przy pomocy miejscowej uprawy, łatwo i z korzyścią da się otrzymać; lecz i tej ślepo bez należytego zastanowienia chwytać się nie powinien.

Pracę swą podzielił autor na ustępy, traktując każdy z osobna przedmiot, odpowiednio do rozmaitych zajęć i prac gospodarskich; my w niniejszem sprawozdaniu następujący podział przyjęliśmy.

Ustęp 1szy o siewie wogólności, do którego to ustępu podciągamy: *a*) siew kartofli, *b*) siew koniczyny, *c*) siew wyki i mieszanki.

Ustęp 2gi o wymłocie i zapasach.

Ustęp 3ci o sprzętach i narzędziach.

Ustęp 4ty o paszy dla bydła na wiosnę i w lecie.

Ustęp 5ty o sadach.

Ustęp 6ty o zaprzęgach.

Ustęp 7my owczarnia, podział trzody na gromady.

Ustęp 8my uprawa pod oziminy i wywóz oborniku.

Ustęp 9ty sianokosy, do czego należą:

a) Koszenie i zbiór koniczyny, *b*) zbiór wyki i mieszanki, *c*) składanie siana w stérty.

Ustęp 10ty o żniwach, do którego należą: *a*) o sierpie i kosie w żniwie, *b*) zbiór na nasienie, *c*) o kopach, *d*) o zbieraniu kłosów pomiędzy kopami, *e*) zbiór owsa, *f*) zbiór pszenicy, *g*) paszenie snopami, *h*) o przechowywaniu zboża w stodołach i stertach.

Ustęp 11ty o siewie oziminy.

Ustęp 12ty o użyciu czasu po sprzęcie i siewie oziminy, dalej następuje:

a) Wywóz oborniku pod jarzyny, *b*) przeory, *c*) zagony, *d*) przerabianie zagonów, *e*) osuszenie gruntów, *f*) zima, *g*) o paszy zimowej, *h*) stajnie, *i*) narzędzia, *k*) omłot, *l*) czeladź, *ł*) zatrudnienia około bydła, *m*) o gurdzielu (chorobie u bydła), *n*) karmienie bydła, *o*) stosunek pożywności siana do innych pasz, *p*) karmienie sianem, *q*) plewy, *r*) karm kartoflami, burakami, brukwią, otrębami; *s*) młóto (słodziny) i bracha czyli wywar, *t*) utrzymanie inwentarza w zimie, *u*) wywóz oborniku, *w*) obornik i gnojowiska, *x*) regestra i rachunki.

Ustęp 13 traktuje o ubocznych zatrudnieniach ekonoma, do których należą:

a) Budynki, *b*) płoty żywe i kamienne, rowy, *c*) drogi i ścieszki, *d*) najemnik, *e*) obchodzenie się z włościanami.

Ustęp wreszcie 14ty traktuje o konopiach i pożytkach z nich osiągnąć się mogących.

Dziełko to obejmuje prócz tego dwie tabelle:

I. Rotacyi płodozmianu w gospodarstwie 4ro polowem.

II. Stanowi skazównik gospodarski główniejszych robót w roku.

Zakończają go *uwagi gospodarskie.*

Z wyszczególnionéj treści przedmiotów łatwo jest wnioskować, iż dziełko to stać się może bardzo pożyteczną skazówką dla każdego rolnika, i z tego tytułu nie wahamy się zalecić go naszym czytelnikom, przy względzie na jego przystępną dla każdego cenę; dziełko bowiem rzeczone tylko 2 złote pols. czyli kop. sr. 30 kosztuje.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować.—Warszawa d. 9 (21) czerwca 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*